



Ciekawe przygody Józka piechura.

Jak Józek myślał, że jest żołnierzem, a dowiedział się, że jest rekrutem.

— Laboga, Wojtek!

— Józek, jak mi Bóg miły! A cóż ty? z uzupełnieniem przyszedłeś?

— Niby tak. A no, wzięli mię. Ćwiczyli w kadrze. Tera wysłali w pole. Ale ty? byłeś przecie zwolniony?

Wojtek się oburzył.

— Idź! w słomęś wyrósł, ale w głowie same plewy. Będę to w domu siedział, kiedy Dziadek powiada, że kto ino może, ma iść w pole? — Przecieżem był w pierwszej Brygadzie, zanim ze Szczyorniej Niemcom zwałem. Jak Dziadek mówi, że iść, to iść. Stary przecież legun jestem.

— To twój dziadek tak cię wyprawiał? Mój to tam me. Lamentował, i matula też — i Kaśka też. —

Wojtek na to w śmiech.

— O rany! gdzieś ty się Józek uchowal?

— A w Zagajach Małych, jako i ty, Wojtek.

— Gadajże z głupim! to nię wiesz, o jakim Dziadku ja mówię?

— A skądżeby?

Wojtek zdjął czapkę i wyjął szpilkę z małym portrecikiem, którą miał wpiętą z boku, powyżej rzemyczka.

— O — odezwał się Józek — dyć to Naczelnik Piłsudski.

— No. A dla każdego starego żołnierza, to „Diadek.“

— A dla mnie to nie?

— Widzisz go! jeszcze rosyjskiej kuli nie słyszał, a poufałości z Naczelnikiem mu się zachciewa! Poczekaj — jeszcze nie żołnierz!

— A ino co?

— Co? Rekrut zamazany! A ja jestem starszy żołnierz, to mi musisz „panie frajter“ mówić i na bacność przede mną stać. Rozumiesz?

Taka była pierwsza rozmowa dwu przyjaciół, którzy się spotkali w pułku, kędyś na Litwie wojującym.



Jak Józek został żołnierzem.

Różnie się Józkowi wiodło na początku. Że to był niebardzo obrotny i z życiem wojskowym nieobyty, zrazu nikt na niego inaczej nie wołał, tylko — Te, oferma!

Ale z czasem przekonali się do niego koledzy, bo chłopak był z niego dobry i uczynny. Tylko kpinkowali z niego, że jeszcze nigdy w ogniu nie był i bolszewików nie widział. A właśnie pułk był w rezerwie i na bój się nie zanościło — Ale co to można wiedzieć!

— Ej, Józek — mawiali koledzy. — Poleć się Bogu, jak będzie bitwa.

— Tylko dobrze oczy wytrzeszczaj i jak zobaczysz że na ciebie kula leci, to uskokcz w bok!

— I uważaj, jak będziesz mierzył do bolszewika, żeby cię nie otumaniło, bo to zmyślna sztuka! on ci się obróci w kota, w psa, w czarną świnie, — w co ino zechce!

— Ty mierzysz bolszewikowi w łeb, a tu patrzysz, bolszewika niema, ino świnia szczeciniasta drogą biegnie, pochrzakuje.

— Pewno! kiedy bolszewik za chałupę się schował, a świnia z chlewka wyszła! — wmieszał się do rozmowy Wojtek. — Dalibyśta chłopcy spokój rekrutowi. POCO go straszycie? Wyśta się też bali, a teraz sobie z tego kpinkujecie. I tak da mu szkołę pierwsza bitwa. —

Ani wiedział Józek, że ta pierwsza bitwa tak blisko. —

Jednej nocy zabrzmiał krzyk — „Marsz!”

W chwilę potem kompanja była pod bronią.

— Maszerować!

Na wschodzie białało. Kompanja maszerowała w tamtym kierunku — zdaleka słyhać było nieregularne strzały karabinowe.

Józek maszerował obok Wojtka w milczeniu, wreszcie spytał:

— Wojtek?

— A co?

— Strzelają?

— A ty chciałbyś, żeby ci zagrali?

— Wojtek!

— No?

— Co będzie...?

Wojtek spojrział na zaniepokojoną twarz kolegi i odparł:

— Będzie to, rekrucie, że zostaniesz żołnierzem!

Tymczasem weszli na wzgórze. Strzały odrazu stały się wyraźniejsze. Jednocześnie coś zaśpiewało cieniutko raz,

drugi, trzeci, — aż wkońcu stała się z tych gwiznięć cała muzyka.

— Biegiem! — padła komenda.

Żołnierze bieгли, ściskając karabiny w garści. Biegł i Józek z innymi. Zaterkotało coś, jak maszyna do szycia. I zaraz zaświstało jeszcze gęściej.

Ktoś krzyknął. Porucznik zawołał.

— Padnij, chłopcy! I ogień! tam, na tę wieś! Celownik 800!

Józek leżał, rozplaszczyl się, jak mógł najwięcej. Tymczasem ode wsi terkotało wciąż i gwizdało bez przerwy.

— O Jezu, Wojtek!

— No? — spytał Wojtek, zwracając twarz ku niemu.

— To to jest bitwa?

— No.

— O, Jezu! To kule tak świszczą! O, tutaj! i tu! i tu! Chryste Panie!

— Czego skomlisz, szczeniaku? Trafiła cię która, czy co?

— Nie trafiła, ale, wiem to ja, czy nie trafi?

— Głupisz. Wjuu... pac! Aha, widzisz bolszewiku, draniu, chybiłeś. Wpierw zobaczysz własne ucho, niż mnie dostaniesz. Ty, Józek, nie bój się, uważaj lepiej, żebyś naboi nie marnował. Jak ty karabin trzymasz, ofermo? Łeb schowałeś, a lufa w górę? Panu Bogu w okna strzelasz? — Nie tak, za nisko! Chyba chcesz zająca z tej bruzdy o trzy kroki wypłoszyć!

Mierz między chałupy. Widzisz? tam są.

No, teraz lepiej.

Tymczasem ogień karabinowy ode wsi osłabnął, tylko maszyna wciąż grała.

— Powstań! Biegiem, hurra!...

Poderwali się żołnierze, pobiegli. Z boku, za kępą drzew zaterkotało coś bliżej.

— Oj, Wojtek, powiedz, czy trza zrobić „padnij”? — pytał Józek bez tchu.

Wojtek, który sapiąc, biegł naprzód co sił, zaklął od choler i odpowiedział:

— Ty ciężka idjoto! Ty cywilny łbie! Nasza maszyna bije na wieś, a ten będzie robił „padnij"! Rekrucka twarz zatracona!

Zawstydził się Józek i już tylko biegł, karabin w garści trzymając.

Od wsi strzelanina szła wciąż, kulki gwizdały, ale on już nie dbał o to.

Krzyczał „hurra!” i biegł, dopóki nie natknął się na opłotki wsi.

Mignęły mu zbliska, z za węglów chałup lufy karabinów, huknęły strzały, a jeszcze się nie rozwiął ich dym, kiedy już Józek z innymi byli we wsi, a drogą między chałupami i przez płoty sadów uciekali bolszewicy.

Zdyszani, zziajani żołnierze opanowali wieś. Wzięto jeńców, maszynki; kilka trupów leżało tu i owdzie. Kilku naszych było rannych, sanitariusze kładli ich na podwody.

Józek stał, gapił się na wszystko i rozmyślał. Wtem ktoś go trącił w ramię.

— No, Józek, jakże ci się podobało?

— Jak się skończyło, to... myślę, że mi się spodobało. Ja sobie też przypnę Dziadka na czapce. Przecież słyszałem kule? Przecież już żołnierz! Tera mogę mówić „dzia-
dek“, nie?

— Możesz — przyznał Wojtek poważnie. — A przyznaj się, miałeś stracha?

— Mieć miałem, ale na drugi raz to się nie będę bał. To przecie nie trudno. Kiedy pan porucznik krzyczą: „w tyraljery, — padnij, — weź odstęp, cholero, — ogień!“ — to leżeć i strzyłoc. A jak krzyknie: „hurra, chłopcy, biegiem na nich, za mną!“ — no to ino biedz i drzeć się „hurra“, co tylko siły. — To ci dopiero sztuka!

— Dobrześ to wykombinował — odparł Wojtek. — Ino grunt nie dbać o to, że strzelają. Trafi, nie trafi — to już nie twoja rzecz, ino Boska. A my przecie robimy wielką rzecz. O, widzisz...

Tu Wojtek wyciągnął z kieszeni malutką książeczkę.

— Patrz, co tu stoi napisane: „Cześć bohaterom-żołnierzom, którzy własną pierśią kraj nasz przed wrogiem zasłaniają!“

— liiii... Gadaniel Zasłaniam to, jak leżę?

— I kiedy leżysz w tyraljerze. I kiedy stoisz na weducie, a w porządku uważasz, choć cię nikt nie widzi. I kiedy idziesz naprzód, choć do ciebie biją. I kiedy odbierasz pozycje, które wróg ci zabrał. Rozumiesz?

— Rozumieć rozumiem, ale nie bardzo.

— No to słuchaj. Jak żołnierz jest morowy, to zasłoni kraj, to znaczy, nie puści wroga do kraju; nie puści go do swojej parafji, do swojej wsi, do swojej chałupy.

— Jakże — to —

— Poczekaj. A chciałbyś żeby tak bolszewicy przyszli do Zagajów?

— Rany boskie! Jakżebym miał chcieć! Polaby końmi spaśli, ziarno z komory zabrali, konie wzięli, koniaby zarżneli i srokąta jałowkę też — Matuleby przegnali z chałupy, dziadusia psami wygnali — a Kaśkę —

— Widzisz. Jak nie chcesz, to bądź morowym żołnierzem.

— No to co z tego?

Z żołnierzy składa się kompanja, a z kompanji bataljon—

— Niby tak.

— Z bataljonów pułk; z pułków brygada. Z brygad, dywizje. Z dywizji armje —

— Rety! Jakże ty to spamietasz!

— Stary legun przecie jestem. Więc jak pojedynczy żołnierz będzie morowy, to będzie morowa i cała kompanja; z morowych kompanji są morowe bataljony —

Z morowych bataljonów są morowe pułki. A jak będą morowe pułki, to i całe brygady i dywizje będą morowe, nie?

A jak wszystkie dywizje będą morowe, to morowa będzie cała armja Polska. Rozumiesz?

— O rety, Wojtek, jaki żeś ty mądry!

Tera, to juzem zrozumiał dokumentnie.

— Itaka morowa armja osłania kraj, żeby tam ludziska w spokoju orali, siali, zbierali, do kościoła chodzili, żenili się, dzieci chowali i do szkół je posyłali. Oni tam, a potem i my z nimi, jak się wojna skończy, jak pobijemy wroga. Rozumiesz?

— Olaboga, rozumiem! To i ja zasłaniam przed bolszewikami naszą wieś, naszą chałupę, nasze pole, i — matule i Kaškę —

W tej chwili zawołano Wojtka i Józka, bo dowódca plutonu robił zbiórkę, gdyż miał odejść z plutonem na placówki.

Wieczorem, po powrocie ze służby, spytał Józek Wojtka, gdy się już spać pokładli:

— Wojtek, a co to znaczy bohater.

— Bohater, widzisz, to jest taki — dobry, odważny, dzielny, że no! jednym słowem morus. Zrozumiałeś, rekrucie? wróć! Zrozumiałeś kolego?

— A dyć zrozumiałem. Wojtek, ja tyż muszę być bohaterem.

— Ja ci ta nie wzbraniam — odrzekł Wojtek łaskawie — ino już nie gadaj, bo chcę spać.

I za chwilę już chrapał, ale Józek nie odrazu jeszcze usnął.

Roily mu się w myślach przeważnie obrazy: wieś rodzinna, bitwa; przypominały mu się słowa Wojtkowe. Aż wreszcie zaczął rozmyślać o tem, jak to on, Józek, zostanie bohaterem i jak to go powita Kaška, kiej się o tem dowie...

I usnął.

Jak Józek został bohaterem.

W kilka dni potem pluton, w którym służyli dwaj przyjaciele, znalazł się w ciężkich opałach: A było to tak: Kompanja zrobiła wypad. Pierwszy i drugi pluton miały obejść wieś, obsadzoną przez nieprzyjaciela i zaatakować ją z dwóch stron; zaś trzeci miał przypaść po obu stronach jedynej wolnej drogi odwrotu i „fasować“ to, co będzie ze wsi wiało. Pluton miał wyraźny rozkaz nie ruszania się z miejsca i nie mieszania przed czasem do ataku.

Tymczasem stało się tak, że nieprzyjaciel zauważył podsuwającą się linię i otworzył silny ogień z maszynki.

A tu iść naprzód nie wolno, a wytrwać w miejscu ciężko.

Więc tedy maszynka bije w linię, wiara leży w bruzdach i klnie, a dowódca plutonu wysłał łącznika do dowódcy kompanji z zapytaniem, co ma robić.

— Do cholery z taką sytuacją! — mówi sobie. Maszynka gra, kulki gwizdzą i sieją się tuż przed nosem. Wiara leży, lby pochowała, nie strzela, bo niema rozkazu. Trzeba wmówić w bolszewików, że się pomylili, że tu żadnej tyraljery niema.

— O, — powiada Wojtek — sieją i sieją! Żeby choć z tego siewu co wyrosło, to byśmy tu mieli ładny urodzaj! Wstrzelały się takie syny! Zwykle, to ci o kilometr za nami sypią, a dziś, to aż się w nos kurzy. I gdzie te dranie mają maszynkę? Tu między chałupami na drodze? Czy z tamtego okienka biją? Cholera wie! Żeby tak tej maszynie pysk zatkać, toby nam tu było bardzo klawo leżeć. Mięko, kwiatki... Ty, Józek, boisz się?

— Ja chcę zmiarkować, skąd oni biją.

— No? i zmiarkowałeś?

— Mnie się widzi, że tak: z hańtej górki, na prawo, gdzie krzaki i kapliczka. Jakby tak podejść...

— Czasem i głupiemu trafi się co mądrego powiedzieć. Podejść... a któredy?

— Jakby tak na mnie, to podszedłbym tą bruzdą. Później w ten rów biegiem. Potem, gdzie te krzaczki — i juzem przy kapliczce.

— No, Józek, a żebyśmy tak poszli?

— Jakże?

— A patrolem na ochotnika. Wziąć tak jeszcze ze dwóch... Poszedłbyś?

— A ino.

— No, to idźmy się spytać podporucznika.

Wojtek powiedział „idźmy“ ale naprawdę, to musieli się czołgać. Szczęściem podporucznik był blisko.

Dowiedział się, o co rzecz idzie, głową pokręcił i rzekł:

— No, spróbujcie... Kupić nie kupić, potargować można. Weźcie sobie jeszcze dwóch zuchów. Tylko iść ostrożnie.

W chwilę potem ostrożnie, zwolna, czołgają się cztery postacie w kierunku wzgórza. Bujne trawy ugoru ich kryją. Jakby żmija pełzła wśród trawy, — jeno żdźbła się chwieją. Teraz w rów.

— Tu już biegiem. Karabiny w garści; ani brzęku, ani pary z ust!

— Ta—ta—ta—ta. — Terkocz sobie terkocz! My ci pysk zamkniemy! — myśli sobie Józek i taka go uciecha bierze, że zapomina o niebezpieczeństwie.

Rów się kończy. Teraz najtrudniejsze.

Po jednym, ostrożnie, — za krzak, — pełzać trawą. — Jeszcze kilkadziesiąt kroków. — — — Spozrzegli. Huknęły strzały, sypnął się grad kul. Wojtek jęknął i zwałił się w trawę.

— Cofajmy się do rowu — szepnął obok Józka jego towarzysz.

Ale Józka wzięła taka złość, że aż mu dech zaparło. Jakto! cofać się teraz? kiedy są już tak blisko? Nie, za nic!

Jak nieprzytomny z gniewu zawołał: — „Za mną!“ — i rzucił się ku wzgórkowi, nie bacząc, czy kto idzie za nim.

Po krótkim wahaniu dwaj towarzysze podążyli za nim.

Trzask wystrzałów, świst kul, krzyk „hura!“

Maszynka skierowana na dalszą odległość, jej kule niegroźne, — tylko te z żołnierskich karabinów. Nim się jednak bolszewicy spozrzegli, co się święci i ilu ludzi ich atakuje, Józek i dwaj jego koledzy byli tuż.

Oto kapliczka. Przy maszynce ludzie w burchach mundurach. Józek mierzy, strzela, jeden z nich pada. Kilku innych mierzy do niego. — Ale Józek nie czeka — odskakuje w bok, pada, ale zaraz zrywa się i z kolbą biegnie na nich. —

A wtem gwar, strzelanina, krzyki. —

Słychać gromkie „hura!“ na prawo i na lewo we wsi. Bolszewicy się niepokoją; już się nie bronią — wieją.

A Józek tymczasem dopadł maszynki i krzyczy radośnie:

— Nasza maszynka! nasza!

Z dwóch stron sypnęli się żołnierze. — Szare, majowe mundury, znajome twarze, — to tamte dwa plutony, które zaatakowały wieś.

Józek ciężką na kółkach maszynkę ciągnie ku swoim. Taśmami naboju się pooplatął i idzie dumny, jak król.

Jedno go tylko trapi: co się z Wojtkiem stało? czy zginął? Nie zginął Wojtek, ale był dosyć ciężko ranny. Doczołgał się do rowu i tam założył sobie opatrunek.

Józek odnalazł przyjaciela, leżącego na podwodzie.

— To do szpitala pojedziesz! Oj, Wojtek, będzie mi się cniło bez ciebie!

— Wróć przecie do kompanji, niech mię ino sanitety wykurują. Aleś ty Józek morowo się sprawił. Słyszałem, jak nasz podporucznik mówił o tobie.

„Myślałem“ — powiada — „że to taki rekrut zamazany,“ — powiada — „że to taka oferma, a to“ — powiada — „bohater! Tak ci szedł po tę maszynkę, jak po swoja.

— O Jezu, Wojtek? to ja jestem „bohater“? Tak powiedział?

— Tak mówił, jak mi Bóg miły.

Józek milczał przez chwilę, wreszcie zagadnął:

— Wojtek?

— A co?

— A ze szpitala dostaniesz urlop?

— A może.

— A w Zagajach będziesz?

— A pewno.

— A powiesz Kasi — — —?

— Co? Ze jesteś bohaterem? Nie bój się, powiem, powiem!

Śmiał się Wojtek.

— No, pamiętaj. I szpilkę z Dziadkiem mi kup.

W plutonie zaczęto też odtąd inaczej patrzeć na Józka. Nikt go wprawdzie nie nazywał bohaterem, ale za to ułożyli o nim chłopcy taką piosenkę:

A nasz Józek chłop morowy
wziął karabin maszynowy
Niechże wiedzą, swój czy obcy,
że w Zagajach dzielne chłopcy